

Brygida Helbig: Zachwyca, choć nie zachwyca

Na poziomie czysto formalnym film za wszelką cenę stara się uniknąć kiczu, za to jego „płasko” zarysowana fabuła jest kiczu bardzo bliska – tak o "Zimnej wojnie" mówi Brygida Helbig.

Recenzje opiewają tę produkcję jako film o miłości. Jednak to nie jest film o miłości, tylko film o tym, jak dwoje traumatyzowanych ludzi z pokolenia wojennego nie potrafi kochać. Temat to niezwykle ciekawy, tyle że nie został on tak naprawdę podjęty. Reżyser jakby nie podszedł do filmu jakimś głębszym znaczeniem, poza jednym – cóż za tragiczna miłość. Na poziomie czysto formalnym film za wszelką cenę stara się uniknąć kiczu, za to jego „płasko” zarysowana fabuła jest kiczu bardzo bliska, brak jej wystarczającego psychologicznego uzasadnienia, nieumotywowane jest też zakończenie. Metafora zburzonej świątyni nadaje temu zakończeniu nieco głębi, jednak i ona trąci banałem. Natomiast sceny muzyczne i cała strona estetyczna filmu to oczywiście majstersztyk. Przekonuje też atmosfera powojennej Polski, czasów stalinizmu, potem rozdarcia na emigracji, zimnej wojny.

"Zimna wojna" to podobno także metafora wojny między kochankami. Ta wojna jednak nie jest wcale zimna, tylko gorąca, z powodu destrukcyjnych emocji kochanków, które dałoby się wyjaśnić jedynie głębokimi zranieniami z przeszłości, np. wojennej. W filmie pojawia się sugestia, że Zula, femme fatale, schodząca z Wiktorem na dno, zabiła (czy prawie zabiła?) ojca, gdy pewnego razu „pomylił ją z matką”. Jednak temat ten zostaje porzucony. Widzimy tylko powierzchnię, niszczącą relację dwojga kochanków, z której nic poza tragizmem nie wynika. Przy czym - poprzez perfekcyjną estetykę filmu - relacja ta zostaje uwznioślona, upiękuszona, podlega „romantyzacji”. Tego typu koncepcją straceńczej „miłości” karmieni byliśmy od małego – w piosenkach, literaturze, a potem wielu z nas z fatalnym skutkiem naśladowało ją we własnym życiu. To „miłość” żyjąca generowaniem katastrof, poruszająca się w rejestrach najwyższych i najniższych, „miłość-narkotyk”. Już nie bawi mnie oglądanie jej dla samego oglądania. Jeśli Zula i Witold potrafią tylko wzajemnie się ranić, to chciałabym przynajmniej dowiedzieć się, dlaczego. Ale może to oczekiwanie zbyt kauzalne i epickie? Bo jest to, jak mówi reżyser, film liryczny, w którym liczy się każdy kadr, nastrój, scena, kompozycja, dźwięk. Jednak jak na zwykły „muzyczny melodramat” film został przyjęty zbyt entuzjastycznie, więc uparcie doszukuję się w nim czegoś więcej.

Dla mnie największy ładunek emocji leży w jednej z końcowych scen filmu, w której pojawia się postać małego chłopca trzymanego na rękach przez kierownika politycznego zespołu „Mazurek”. O tym, co historia tej miłości i śmierci znaczy dla niego, chciałabym się dowiedzieć więcej, tym bardziej, że ma chyba wiele wspólnego z historią rodziców reżysera. Jednak tego się nie dowiaduję. Rozumiem, że reżyser nie mógł i nie chciał powiedzieć więcej. Aby w ogóle móc o tym opowiedzieć, potrzebował zimnego dystansu, zimnej techniki - zimnej wojny ze sobą? Pomogła mu w tym pewnie ostro zarysowana forma, jak szczelna zasłona między fabułą filmu, a życiem wewnętrznym twórcy. Istnieje taka technika terapeutyczna - zobaczyć wszystko, co nam się przydarzyło, z dużego dystansu, jak w filmie. Jeśli jest się reżyserem, można to zrobić naprawdę. A żeby film był jeszcze bardziej od nas oddalony, niech będzie czarno-biały, niech ma „zawężony” format, ostre cięcia, elipsy, niech nie stwarza iluzji rzeczywistości. W ten sposób krok po kroku, w bezpieczny sposób możemy zbliżyć się do własnej historii, także tej najstraszniejszej. Dla mnie tę historię

opowiada ktoś, któremu rzeczywistość rozpadła się kiedyś na strzępy, uległa fragmentaryzacji i on nie jest w stanie jej na razie posklejać, robi ku temu dopiero pierwszy krok - pierwszy krok na drugą stronę, z której będzie miał lepszy widok. Tak rozumiem ostatnią scenę filmu. A może Zula i Wiktor to tylko metafory życia wewnętrznego? Jeśli jeszcze trochę dłużej pofantazuję o tym filmie, być może go pokocham.